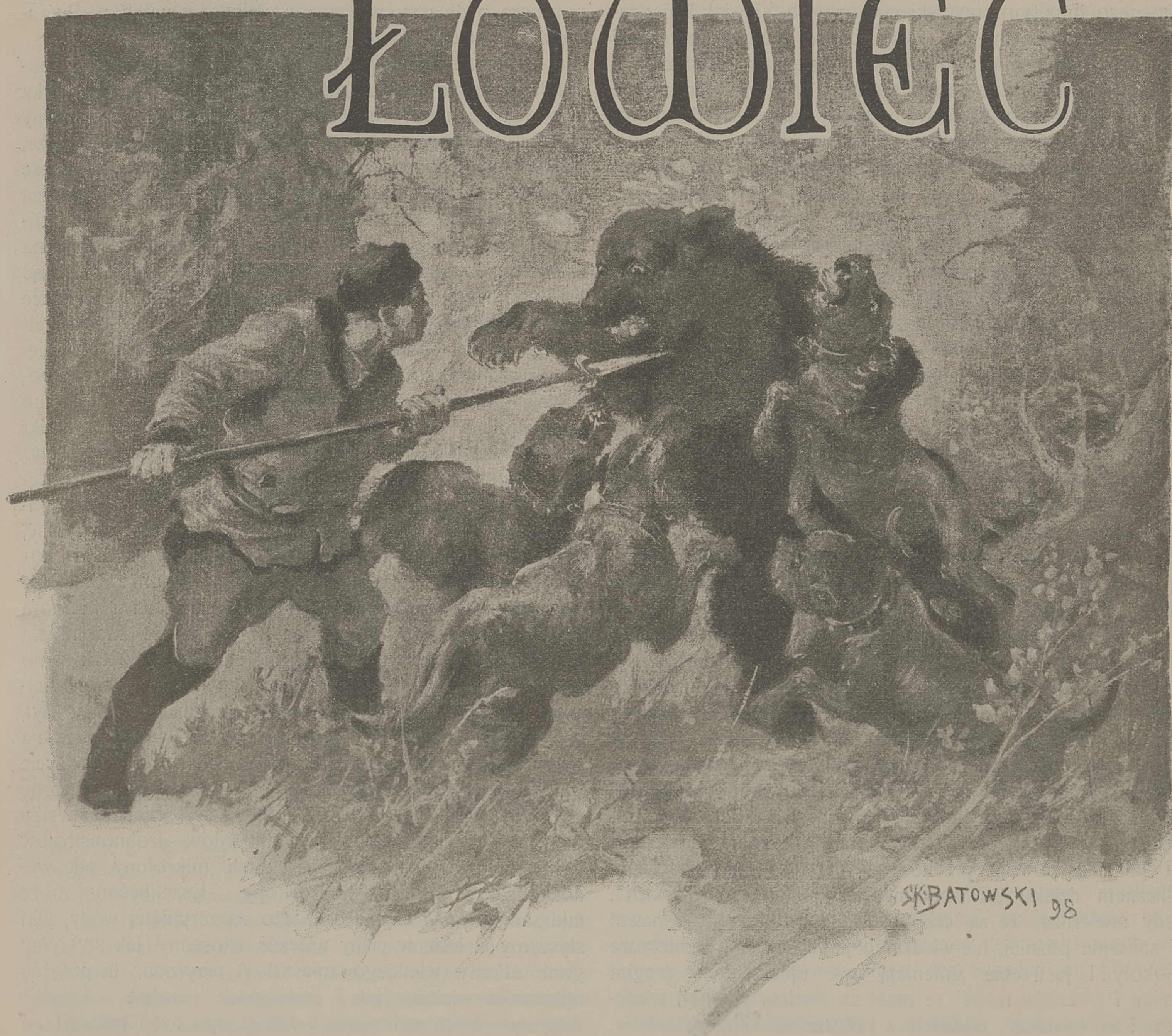
Nr. 3 Lwów, 1. lutego 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Przyroda na straży swych skarbów.

(Pogadanka przyrodnicza).

Przyroda, to księga pisana hieroglifami od pierwszej do ostatniej karty, to bezdenne morze zagadek i niespodzianek, ale morze, kryjące w sobie perły i korale! Tak, jak tysiącletni papyrus tylko uczony egyptyolog z trudnością odczytać potrafi, tak jak perłę morzu ukraść tylko zdolny nurek jest w stanie, tak w księdze przyrody czytać może prawdziwy tylko jej badacz, tłumaczyć nam rozmaite jej objawy, rzucać snopami światła na rozmaite, dotąd ciemne ustępy tajemniczej tej księgi, które by należycie wyświecić, trzeba nieraz wieków mrówczej, bezgłośnej pracy, trzeba nieprzerwanych wysiłków dziesiątek pokoleń, by zdołać ukraść tę lub ową tajemnicę zazdrosnej naturze.

Przyroda rzeczywiście tak zazdrości o swoje skarby, tak czujnie stoi na straży swych tajemnic, że nieraz wyjawia badaczowi jakieś pozorne fakta, które wprowadzają go w błąd, cofają wstecz nieraz pracę o wieki i utrudniają badania przyszłym pokoleniom, które zamiast iść naprzód, muszą najpierw wyświecić i sprostować błędy poprzednich, a dopiero na nowo zapuszczać się w ten tajemny, dziewiczy bór i oryentować się po niektórych znanych już drzewach i skąpo światłem prawdy oblanych polankach. Komu znana historya postępu nauk zoologicznych, ten wie, że za czasów Aleksandra Wielkiego lub Pliniusza wiedziano mniej więcej to samo a może i więcej nawet niż w XI i XII wieku naszej ery. Na takie często powtarzające się kroki wstecz wpływały bezwględnie czasy strasznych walk i przewrotów społecznych, upadki odwiecznych urządzeń państw, wędrówki ludów, pożary obracające w zgliszcza tysiące miast

i nagromadzonych w nich skarbnic wiedzy i odkryć uczonych. Nowe ludy z nowemi tradycyami osiadłszy na gruzach dawnego imperyum rzymskiego rozwijały się, jak kwiat zasiany na świeżej mogile, który rosnąc pierwszy na pustej wokoło ziemi, musi sobie sam wystarczyć i korzeniami swymi wpleść się w nowe darnie, by go lada wiatr nie zmiótł. Nowe społeczeństwa przyszły niebawem do samopoznania, że rozmachem swoim zniszczyły i te urządzenia, które im samym do bytu będą nieodzowne i zaczęły zapuszczać korzenie w gruzy greckie i rzymskie, rozgrzebywać zgliszcza pomników rozsypanej w proch wiedzy, czerpać z nich soki dla siebie, szczepić na sobie dawne urządzenia, zastosowując je do swoich potrzeb i tradycyi. Dzikie z stepów mongolskich i podgórza Pamiru i Tybetu burzą przygnane sępy jęły się stroić w pióra poległych orłów rzymskich. Tejto zresztą naturalnej asymilacyi zwycięzców do zwyciężonych zawdzięczamy odgrzebanie kultury klasycznej, tego powodem to, że i wiedza przyrodnicza, zdobyta przez ludy, żyjące lat temu tysiące, dotrwała naszych czasów i jest dotąd podstawą dalszych poszukiwań i walk z naturą. Nim jednak nowe ludy mogły zacząć się rozwijać kulturalnie, musiały najpierw upewnić swój byt na nowych obszarach, musiały staczać długie boje społeczne i polityczne — stąd powstał zastój na polu wiedzy i wszelkiego postępu kulturalnego, który trwał od upadku imperium rzymskiego aż do wieku XII naszej ery.

Nauki przyrodnicze podzielały równo los swych siostrzyc i do początku wieku XIII były zupełnie przerwane, dopiero około 1210 żyjący Albertus Grotius, zwany Magnus, występuje na widownię jako niezmordowany badacz natury a w szczególności ornitolog. Ten jednak stojąc na tym samym poziomie co i jego współcześni, wplata w swe spostrzeżenia mnóstwo naiwnych podań i zabobonów, którym wiarę daje i na których badania swe opiera. Od tego czasu idą nauki przyrodnicze żółwim krokiem naprzód a jak idą powoli, przekonywa nas Wodzicki w swem ślicznem dziele: „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich“, gdy stwierdza, że za czasów Stefana Batorego, a nawet i znacznie później, nie wiedziano jeszcze o tem, że niektóre sokoły i jastrzębie zmieniają swe upierzenia w drugim roku i uważano młode te ptaki za osobne gatunki, a często i za bastardy, powstałe z połączenia kilku gatunków. Sławny Krescentyn, cytowany w powyższem dziele, w roku 1549 pisze o sokołach: „Między wielgimi jedni są czarni *(Falco peregrinus)* drudzy lepak przeciwko nim niejako biali *(Falco gyrfalco)* trzeci mieszańcy niejako czerwonawi z łączenia tych pierwszych pochodzący, to jest, gdy czarny straciwszy towarzysza z białym przebywa“. Krogulcem zaś nazywano dawniej w Polsce nie dzisiejszego „*Falco nisus*“ ale dzisiejszego gołębiarza *(Astur palumbarius)*.

Słów tych kilka z historyi rzuciłem tu na papier w nadziei zainteresowania niemi czytelników i by pokazać jak żółwimi krokami dążyła i dąży naprzód wiedza zoologiczna, jak trudnemi są badania na tem polu, jak zazdrosna przyroda ukrywa życie i obyczaje zwierząt przed okiem badacza i jakich trzeba wysiłków, by choć rąbka zasłaniającego to życie natury uchylić. I dzisiaj jest wiele niejasnych i niezbadanych kwestyi na tem polu. Powiedzmy sobie naprzykład, że ta długo omawiana i niepewna kwestya rui sarn jest już dzisiaj zupełnie pewnym i na koniec lipca i początek sierpnia unormowanym faktem, to wchodzi na porządek dzienny inna równie ciekawa i zagmatwana kwestya tycząca się cieczki borsuków. Jedni naturaliści chcą ją mieć w listopadzie, inni normują ją na lipiec i sierpień. W zeszłym roku w świecie naukowym tyle o tem pisano i mówiono, że ufny w łaskę redakcyi i cierpliwość czytelników poproszę o dłuższe miejsce, w jednym z najbliższych numerów „*Łowca*“ dla tej borsuczej sprawy.

Im zwierzę jakie jest dzikszem, tem badania jego sposobów życia na większe natrafiają trudności, a opiekunka przyroda po mistrzowsku obmyśliła sposoby samoobrony żyjących na jej łonie stworzeń. Im zwierzę drobniejsze, słabsze, im uboższej wyposażone w broń, dającą mu szanse walki w obronie życia i bytu, tem je przyroda potężniejszą otacza opieką. Sarna naprzykład, która ma w lecie sukienkę rudą, dzięki której staje się nie raz podobną na zrębie do zwiędłego krzaka, tak że często można wziąć krzak za sarnę i odwrotnie, z nastaniem zimy ubiera się płowo. Nie mogąc tak jak w lecie ukrywać się w liściastych gąszczach, na głos ludzkich kroków staje nieruchomo między drzewami, z koloru podobna do pni, które ją otaczają i pozostaje niespostrzeżoną. Zając śpi w bruździe na ścierni lub w oraninie o kilka kroków od ruchliwego gościńca i nikt go nie widzi, bo jest tej samej barwy, co otaczające go tło. Pędzel przyrody ubrał słonkę w kolor i cienie zwiędłego liścia, by między nimi mogła sypiać spokojnie. Jarząbek siadłszy na gałęzi potrafi tak się do niej przytulić, że nieraz trzeba wysiłku oka i cierpliwości, by go wśród konarów odnaleść. Nocnym zwierzętom jak dzikom i borsukom dała przyroda kolor ciemny, by w mroku lasu i wieczora łatwo o byt starać się mogły; przyroda nie zapomniała o żadnem z zwierząt i dała środki samoobrony tak samo potężnym królom dżungli afrykańskich, jak i najmarniejszym tworom drobnoustrojowym. Ta sama walka o byt, gdzie spojrzymy, czy to na łonie skwarnej pustyni, czy na podbiegunowych lodowatych równinach! „Co za życie wre“ — powiada Nansen — „w każdej kałuży wody pod 85 stopniem północnej szerokości! ta sama walka o byt i o miłość wśród tych miljardów drobnoustrojów jak i wszędzie!“ — Gdybyśmy mieli mikrofony tak wydoskonalone jak są mikroskopy, słyszelibyśmy może taki sam gwar w szklance świeżo zaczerpniętej wody, jaki słyszymy w lesie w cichy wieczór wiosenny, jak słyszymy gwar uliczny wielkiego miasta! A przyroda, ta potężna opiekunka wielkich jak i maluczkich, pamięta o każdem najdrobniejszem zwierzątku i dba o jego byt i rozwój!

Szczególną własność samoobrony zapomocą zdolności asymilacyjnych dała przyroda owadom. Chociaż wzmianka o tym ciekawym objawie w przyrodzie nie nadaje się do łowieckiego pisma, to przecież ze względu na tę rzecz niezmiernie ciekawą a mało ogółowi znaną, pozwolę sobie o niej powiedzieć tu słów kilka a sądzę, że nią każdego miłośnika przyrody zainteresuję.

Dwaj angielscy badacze przyrody i podróżnicy, Vates i Wallace pierwsi zwrócili uwagę na tę dziwną własność owadów, polegającą na podobieństwie ich do otaczających je a czasem i zupełnie innych przedmiotów i zapisali to swoje dziwne odkrycie pod angielską nazwą „*Mimicry*„ (po polsku może naśladowanie, podszycie się pod coś) w księgach naukowych. Dzięki tej własności zupełnie bezbronne owady mogą przez podobieństwo swoje, jakie im się podoba w danej chwili przybrać, do liści kwiatów, jadowitych chrząszczów lub przedmiotów, budzących odrazę, w zwierzętach owadożerczych, żyć spokojnie w najbliższem sąsiedztwie swych wrogów. I tak n. p. gąsienica tropikalnego motyla *Cimbex* śpi na liściu w postaci skorupki ślimaczej, amerykańska szarańcza wisi na gałązce podobna do liścia, drobna ćma *(Fortrix ocellaria)* śpi na liściu

w postaci ekskrementu ptasiego, kokon amerykańskiego pająka *(Aides amanda)* leży podobny do gniazda os, ogromny motyl indyjski *(Callima Philarchus)* uczepił się gałązki w postaci zwiędłego liścia i t. p.

Tak to matka przyroda umie dbać o swoich maluczkich.

Widząc na każdem miejscu niesłychaną troskliwość natury o twory na jej łonie żyjące, widząc tę niesłychaną mądrość i logiczność faktów i objawów w przyrodzie, wznosimy się myślą hen wysoko, po nad gwiazdy z podziwem aż do stóp Boga i Pana całego stworzenia, a usta nasze szepczą w zachwycie, wielkie prostotą swą słowa Karpińskiego:

O jakże wielkie są Twe dzieła Panie!
Jakże głębokie Twe myśli!
Szalony człowiek nie zważa na nie,
A głupi na próżno je kreśli!

Albert Mniszek.

Sprawa ustawy łowieckiej w Sejmie zeszłorocznym.

(Ciąg dalszy.)

P. Skołyszewski. Wysoka Izbo! Zdaje mi się, że nie powiem za wiele, gdy stwierdzę, że żadna z obowiązujących ustaw administracyjnych nie jest tak słusznie znienawidzona przez włościan, jak obowiązująca obecnie ustawa łowiecka. Nie ma prawie jednego zgromadzenia ludowego, na któremby się nie słyszało z tego powodu podniesionych skarg i zarzutów; prawie co drugi list włościański, jaki się otrzymuje, prawie każda rozmowa ogólniejsza z włościaninem, jest tego dowodem.

I doprawdy dziwićby się należało, że ustawa, zajmująca się tak drobnym szczegółem naszych spraw krajowych, tak drobną częścią tegoż gospodarstwa, jest powodem takiego niezadowolenia i niechęci.

Ale jeżeli się zważy, że ta ustawa ma tyle rażących niesprawiedliwości, że o całe niebo niżej traktuje gminę jako jednostkę administracyjną od przełożonego obszaru dworskiego, którym z łaski właściciela może być ktobądź, jeżeli się zważy, że włościanin już nie na swoim kawałku gruntu, ale na najbliższem obejściu i zagrodzie nie może być panem swoich plonów i swego zwierzęcia, (psa lub kota), a częstokroć z powodu nieostrożności wykonywującego polowanie narażonym jest na kalectwo — to dziwić się nie można, że ta ustawa z taką niechęcią przez ogół jest przyjmowana. A niechęć ta potęguje się tem, że włościanin nie ma prawa i możności przyjść do tego słusznego wynagrodzenia za szkody, które mu zwierzyna wyrządza.

Mnie się zdaje, że stanę na słusznem stanowisku, jeżeli powiem, że ten, który grunt uprawia, powinien być także panem plonów, czy to żywych, czy martwych, które grunt niesie — a ograniczenie tego prawa powinno być tylko wtedy dozwolonem, jeżeli wykonanie tegoż przynosi czy to jednostce, czy ogółowi szkodę.

I tu ponieważ przez ogół naszych ustawodawstw, czy krajowych, czy państwowych uznanem jest, że wyniszczenie zwierzyny łownej stanowiłoby dotkliwą społeczną szkodę, dlatego przyjęto z jednej strony zasadę, że tylko na kawałku gruntu wynoszącym 200 morgów, czyli 115 ha, prawo polowania może być racyonalnie wykonywane, — a wszelkie inne ograniczenia są tej zasady konsekwencyą.

Ale moi panowie, w żadnym kraju koronnym nie ma postanowienia, aby gmina, aby ogół ludności, będącej właścicielem tych parceli, całość takiej powierzchni tworzących, nie miał możności decydowania o tem prawie podług swojego zdania i uznania.

Ustawa dla Czech w §. 4 i 6 wyraźnie powiada, że gmina lub właściciele zbioru parcel, wynoszącego przynajmniej 115 ha, mogą utworzyć spółkę łowiecką.

Nasza ustawa na to nie pozwala, gmina musi wydzierżawiać drogą licytacyi prawa polowania za pośrednictwem władz politycznych.

Ogół właścicieli gruntów może być tego zdania, że wydzierżawienie polowania jest dla niej wprost szkodliwem, może przywiązywać do tego wagę, aby nie cierpieć nikogo obcego, któryby ich plony niszczył.

Tutaj gminie odbiera się prawo rozporządzania swoją własnością, to prawo jest gwałceniem wolności rozporządzania swoim majątkiem i dlatego przez ogół ludności z taką niechęcią jest traktowane.

A teraz nietylko jest złem, że się ścieśnia prawo własności ale i dalsze postanowienia tegoż prawa są dla ludności krzywdzące. Traktują one o tem, w jaki sposób szkody wyrządzane przez zwierzynę, mają być wynagradzane.

Prawda, że ustawa powiada, że właściciel jest obowiązany do wyrównania szkody, ale taki piękny „Dienstweg“ ustanowiła dla dostania tego odszkodowania za szkody, że prawdziwie jest rzeczą niepodobną, aby właściciel gruntu do pieniędzy swych doszedł.

Tu pozwolę sobie przytoczyć ustawę czeską, która w §. 46 powiada i zastrzega się, że w tym wypadku ma być dla każdego powiatu lub okręgu polowania, osobna komisya szacunkowa ustanowiona, przeciw orzeczeniu której nie ma odwołania.

Może p. marszałek pozwoli ją odczytać (czyta):

„§. 46. Der Bezirksausschuss ernennt für die verschiedenen Jagdgebiete des Bezirkes die Obmänner dieser Schiedsgerichte auf je drei Jahre in Vorhinein; ein solcher Obmann hat, sobald bei ihm eine Klage wegen verweigerten Schadenersatzes eingebracht wird, beide Parteien aufzufordern, binnen drei Tagen je zwei Vertrauensmänner zu ernennen, und soll mit ihnen den Schaden an Ort und Stelle erheben.

Dieses Schiedsgericht entscheidet nach vorhergegangenem Vergleichsversuche, und in welchem Betrage ein Schadenersatz zu leisten sei. Können die Schiedsmänner über den Betrag des Ersatzes nicht einig werden, so entscheidet der Obmann innerhalb der Grenze der beiderseitigen Anträge.

Sollte eine Partei ihre Vertrauensmänner über geschehene Aufforderung des Obmannes zu ernennen unterlassen, so hat der Obmann die fehlenden Schiedsmänner selbst zu bestimmen, dies den Parteien kundzugeben und zur Entscheidung über den Ersatzanspruch zu schreiten.

Gegen den Ausspruch des Schiedsgerichtes ist eine Berufung nicht zulässig.

Die Execution des Schiedsspruches ist bei dem zuständigen Gerichte anzusuchen, welches vor deren Bewilligung über etwa erhobene Nichtigkeitsbeschwerden wegen Nichteinhaltung dieses Paragraphen zu entscheiden hat“.

I ustawy wszystkich innych krajów koronnych, nawet na Bukowinie, powiadają, że musi być ustanowiony sąd rzeczoznawców, który ma prawo wypośrodkowania szkody. Przeciw orzeczeniu tegoż nie ma żadnego rekursu. A u nas się wszystko odsyła na Amtswegu do władz politycznych

Jeżeli kto zna stosunki rolnicze, wie że szkody wyrządzone w jednym tygodniu, już w drugim nie mogą być wypośrodkowane. I tu za szkody pozostaje poszkodowanemu droga do władz politycznych, a kto zna pośpiech tych władz, ten wie, że plony częstokroć się zbierze i włościanin o szkodzie zapomni, choć nad nią boleje — a odszkodowania komisyi doczekać się nie zdołał.

I dlatego u nas, w zachodniej Galicyi, gdzie zwierzostan w niektórych powiatach jest nadzwyczaj wysoki, włościaninowi nawet się nie śni upominać o odszkodowanie, bo wie, że to daremne.

Kiedy zajmując się leśnictwem, byłem w Niższej Austryi i na Śląsku, tam w jednej gminie St. Valentin, właściciel polowania opłacił 3 do 4 tys. złr. za szkody zrządzane przez zwierzynę.

(*Głos:* Bo tam jest zwierzyna).

I u nas jest, i jeżeli szanowny kolega sobie życzy, przytoczę przykład.

Puszcza Niepołomicka ma tak dużo zwierzyny, że władze polityczne częstokroć pozwalają na strzelanie sarn, nietylko rogaczy. Ponieważ zwierzyna nie pasie się tylko w lesie, musi się żywić na okolicznych gruntach a pomimo tego właściciele tych gruntów nie mają środka do otrzymania odszkodowania. Kiedy byłem na Śląsku austryackim, tam w trzech rewirach: Hradec, Damadrau i Mostek wynagrodzenie za szkody wynosiło 6 do 8 tysięcy rocznie. Tam wychodzono z tego stanowiska, że jeżeli chcesz się bawić, to płać za to.

A u nas — musiałbym przytoczyć chyba zdanie byłego posła Jana Stadnickiego: „Nicht ehrenhaft, aber gesund“. *)

U nas się ustanawia ustawą wynagrodzenie, ale się nie daje możliwości wykonywania ustawy. Oddaje się ludność wiejską na łup i pastwę i dlatego ta ustawa z taką niechęcią przez nią jest traktowaną.

A teraz pytam się, jaka korzyść płynie z tej ustawy niby modnej, bo przed 5 laty uchwalonej? Taka korzyść, że ludzie, którzy się bawią, mają tanią zabawkę. A jaka szkoda? Dla wieśniaka nieraz bardzo znaczna, bo strata plonów, służyć mających całej rodzinie na utrzymanie, bo się krępuje święte prawo rozporządzania swoją własnością. Dochodzi się do tego, że rozgoryczenie pośród ludu wzrasta, i sądzę, że ten bilans szkód w porównaniu z bilansem korzyści jest bardzo wielki.

Przypuszczam, że w danym wypadku, gdyby Sejm chciał się okazać prawdziwie przychylnym dla ludności włościańskiej, to pomimo tego, że ustawa dopiero przed pięciu laty wprowadzoną została, powinienby ze względu na liczne skargi, jakie ta ustawa wywołała, jeszcze raz gruntownie ją rozpatrzyć i nową ustawę uchwalić.

Z meritum wniosku p. Żardeckiego w zupełnosc zgodzićbym się nie mógł. Powiem szczerze i otwarcie, że ja musiałbym pójść o wiele dalej, aniżeli poseł Żardecki, uważam bowiem ten jego wniosek za minimalny.

Nie chcąc dłużej czasu zabierać, proszę o uchwalenie wniosku p. Mogilnickiego. (C. d. n.)

*) Słowa te, jak to jest rzeczą powszechnie znaną, wyrzekł w Wiedniu właśnie kontrkandydat hr. Jana Stadnickiego, p. Orzechowski, należący do stronnictwa mowcy. Włożenie ich w usta przeciwnikowi, jest znamiennym objawem obecnie stosowanej taktyki politycznej.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

Przebywając bezustannie pośród zarośli afrykańskich, człowiek, chcąc nie chcąc musi znosić tawarzystwo całych legionów robaków i owadów. Nawet w kawałkach drzewa do palenia znajdujemy pełno niespodzianek, skoro płomień obejmie gałęzie z jednej strony, z drugiej zaś wyłażą z nich sine skorpiony i jadowite stonogi i kryją się czemprędzej w stosach słomy, lub łóżkach naszych. Światło latarni, którą sobie przyświecamy podczas wieczornej kolacyi, ściąga do nas całe miliardy nieproszonych gości. Nieraz też do zupy, zajadanej z apetytem, wpadają pluskwy drzewne, lub inne zwierzątka, które zabarwiają ją na kolor podejrzany i czynią niemożliwą do dalszego jedzenia. Czasem znów żuk czarny (czczony przez dawnych Egipcyan), który łazi i składa jajka w najmniej poetycznych miejscach, zjawia się ni stąd, ni zowąd i odbywa w dalszym ciągu przechadzkę po mojej twarzy, lub, co gorsza, po sucharze, który w tej chwili spożywam. Cukier nasz jest zawsze pokryty grubą warstwą maleńkich, rudych mrówek, zwierzątka te lubią nadzwyczaj cukier, oliwę, tłuszcz i masło, to jest wszystkie przyprawy, które my również lubimy.

Woda, najczęściej brudna, zawiera całe masy pijawek lub poczwarek (robaków Gwinei), które w żołądkach naszych odbywają swe przemiany. Termity dokuczają nam również, łażąc po ziemi, wciskają się wszędzie. Przegryzają odzienie, obuwie, papiery, skrzynie, należyty respekt zachowują tylko dla żelaza.

Pluskwy, przyniesione tu przez Arabów, mnożą się szybko i zalewają formalnie niektóre wioski; murzyni, doprowadzeni do ostateczności, wynoszą się gdzieindziej, paląc za sobą domy i cały dobytek. Rzadziej spotykamy pchły, dochodzą one wzrostu nadzwyczajnego i są większe od tych, które u nas w Europie znajdować można li tylko na pieskach pokojowych. Cóż robić, kiedy od tych małych pasożytów w żaden sposób opędzić się nie można.

Jedząc przy świetle, mamy pełen talerz najrozmaitszego robactwa. Próbowaliśmy jadać pociemku, lecz cóż się stało, oto w potrawach naszych znajdywaliśmy coraz to inne smaki, co było dowodem, że coraz to inne robaki wpadały do naszego talerza.

Położenie jest wprost rozpaczliwe, niema nic bez robaków, zacząwszy od mięsa, a skończywszy na owocach. Nawet figi tutejsze są pełne mrówek czarnych. Ach, zaiste, entomologia jest nauką bardzo ciekawą, lecz wszystko ma swoje granice. Złośliwe muchy tsetse, osy, komary, nie dają nam spokoju w dzień, w nocy zaś używają na nas moskity. Jesteśmy między młotem a kowadłem. I tak mijają dnie i tygodnie w ciągłej walce z całą piekielną rasą, co lata, skacze, łazi, kłuje, szczypie, wpija się i gryzie na wszystkie strony.

Powoli jednak człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja, cóż robić? Potem, gdy już wracam do Europy, nagły spokój wydaje mi się czemś nienaturalnem. W kraju tutejszym życie wkrada się wszędzie i otwiera przed ciekawem okiem badacza coraz to inne światy. Nie mam czasu rozpisywać się o tem, lecz zrobiłem powyżej małą

wzmiankę, aby dać czytelnikowi pojęcie o faunie afrykańskiej wogóle.

Ale wróćmy do moich łowów.

Pod koniec grudnia 1895 roku cała nasza wyprawa przesła rzekę Aroangua i obecnie znajduje się w kraju Barotsze; to jest dość daleko od miejsca moich poprzednich polowań.

Kraina, w której obecnie przebywamy, nie jest bardzo malownicza, ale jeszcze ujdzie. Wiosna panuje w całej pełni, naokoło widać wielkie równiny, pokryte świeżą jasno-zieloną trawą, gdzieniegdzie rosną bukiety drzew.

Deszcze od czasu do czasu padają, lecz nie grozi nam zalanie wodą tak jak w obozie Kapotsze. Parę razy przeszły już burze z grzmotami, wlokąc za sobą czarne chmury, to pierwsze zwiastunki pory deszczowej. Niedługo już naszego używania.

Tymczasem ludzie moi i ja przybiegamy nową krainę w różnych kierunkach. Sucha pora, to wypoczynek dla nóg myśliwego, teraz zaś rozpoczyna się nowa era kilometrów i ciągłe treningi. Rów nie rów, dolina, nie dolina, góra, nie góra, wszędzie łazimy, szukamy, plondrujemy.

Dwa razy znaleźliśmy jakieś nieznane tropy, nawet Tambarika nie może ich rozpoznać; wszyscy gubimy się w domysłach, pytając jedni drugich, co to być może? Przyglądam się tropom lepiej i widzę, że zwierz musi mieć racice podobne do bawołu, tylko bardziej wydłużone, wreszcie wpadam na pomysł, że to pewno ślady żyrafy. Widziałem nieraz te zwierzęta w ogrodach zoologicznych, i opisuję zaraz ludziom moim, jak one wyglądają. Czarni, wysłuchawszy mego opowiadania, wytrzeszczają oczy, spoglądają na mnie, a potem trącają się łokciami porozumiewająco, jakby chcieli powiedzieć: „Nie myśleliśmy, aby pan nasz był taki żartowniś; zmienił się jakoś, poweselał“.

Pierwszego, spotkanego na drodze naszej krajowca, zatrzymuję i wypytuję w sprawie żyrafy. Zdobywam się na styl kwiecisty i opisuję zwierzę o ile mogę najlepiej. Po wielu wysiłkach z mojej strony, czarny pojął wreszcie, o co mi chodzi, i wymienił nawet nazwisko zwierza w języku krajowym barotse.

Otoczony gronem strzelców, których w drodze łaski wypożyczył mi wódz tutejszy, z głową pełną różnorodnych zastrzeżeń i planów, posuwam się w okolice, gdzie najłatwiej spotkać można żyrafy, i mam formalną gorączkę polowania. Zdaje mi się, że z pomiędzy wszystkich moich świeżo nabytych strzelców z jednego tylko będę miał prawdziwą pociechę. Czarny śledzi nadzwyczajnie tropy, wdrapuje się na drzewa z szybkością małpy i czołga po trawach, jak wąż. Prócz tego nie jedną już w życiu swojem zabił żyrafę i zna doskonale obyczaje zwierząt. Taki osobnik w naszej wyprawie, to skarb prawdziwy.

Dowiedziałem się także od tego strzelca, że słonie przechodzą tędy często, zapewne dlatego, że dzicy tutejsi nie posiadają wcale broni palnej i płoszyć zwierząt nie mogą; dla nas okoliczność to sprzyjająca.

Zauważyłem także w tym pasie dwa nowe, nieznane nam dotąt gatunki antylopy: „pookoos“ *(cobus vardoni)* i „letchoue“ *(cobus leché)* są to dwie odmiany antylopy „kob“ i dochodzą wzrostu osła. Pierwsza z nich mniejsza, żółtawa, pręgowana, druga popielato-szara z białym brzuchem, rogi obydwóch odmian mają wiele podobieństwa z rogami „kob“, którą już znamy.

Rzeki Aroangua i Zambezi zakreślają w swym biegu granice wyraźnie, przez które zwierzęta nie przechodzą, ztąd też na każdym brzegu rzeki mamy inną zwierzynę.

(C. d. n.)

Korespondencye.

Strzałkowce, 31. grudnia 1903.

„Sic transit gloria mundi“, powtarzałem z przykrością, wracając wczoraj w nocy do domu. Tak i nasze polowanie w Bilczu;... minęło jak gdyby jakiś sen czarowny, minęło.... pozostawiając tylko urocze wspomnienia, owych chwil cudownych na niem spędzonych. Cudowneż to były łowy i wiecznie żyć one będą w marzeniach naszych, długo każdy ich epizod stać będzie w oczach i sercu tych, którzy z łaski ks. Leonowej Sapieżyny brali w nich udział. 28. grudnia zjechaliśmy się w pierwszym rewirze „Konstancya“, w szczupłem niezmiernie gronie, jak na takie olbrzymie brane obszary, ale, że dobranem, świadczy o tem rezultat, bo i my młodzi staraliśmy się dzielnie starszym dorównać. Bo też i wszystko nam sprzyjało i przyczyniało się do świetnego rozkładu: natura, zwierzęta i ludzie. Pora nie mogła być lepiej wybraną, mrozy dziesięciostopniowe a spokojnie, jasno a nie zadużo blasku, wiatr jakby czekał na zakończenie polowania, aż wieczór się zrywał, jednem słowem: „jak w maju“ i żaden czynnik ze strony aury nie przeszkadzał celności naszych strzałów. Zającom jedno mógłbym tylko zarzucić, że przesadzały się w gorliwości zabawienia nas i zanadto stadami chodziły, tak, że człowiek zabijał dwa a dziesięć mu bez strzału uchodziło.

Nie takie to jednak zające, jakie się na zachodzie bije: sprowadzane z Czech, Niemiec, chowane w zajęczarniach. Przez to pół uroku traci polowanie i staje się tylko zabijaniem. O nie! W Bilczu dzikie, całkiem dzikie podolskie szaraki i knieja nic nie traci na uroku swej dziewiczości. Tam polując, ma się prawdzjwe wrażenie, że tylko natura tę zwierzynę stworzyła i utrzymuje a ludzie ułatwiają tylko jej byt, wybijając szkodniki i podsuwając karmę. Na takich łowach przychodzi myśl: „oby to można tak wiecznie!“ Z pewnością ani siły nie odmówiłyby posłuszeństwa, ani serca ochoty. Kozłów niezmiernie dużo i to same stare, kolosy; nad każdym zastanawiałem się: co to za rogi mógłby on mieć! Lisy także gęsto ozdabiały zawsze wieczorny rozkład. Na tem nie koniec warunków sprzyjających: coby to było, gdyby p. Brodziński nie znał tak dobrze miejsc przez zwierzynę faworyzowanych i gdyby ks. Paweł nie był nas tak łaskawie niemi obdzielał? aż strach bierze pomyśleć..... różnica między królem polowania a ostatnim byłaby była ogromną a teraz, że nie 99, ale 94 sztuk zabiłem mówię tylko: „mea culpa“. Miotów braliśmy tylko po dziesięć dziennie, ale to nie z powodu tracenia czasu na rozmowach, wypoczynkach, o nie! komenda szła ostro, energicznie i dobrze, musieliśmy się zwijać, aby zdążyć za gospodarzem; zato w każdym miocio waliło się godzinę bez ustanku na prawo i na lewo a zwierzyna sypała się jak z worka. Dosyć powiedzieć, że pierwszego dnia do śniadania w pięciu miotach padło 303 zające, 10 kozłów i 3 lisy. Po śniadaniu strzelało się zwykle gorzej, nie wiem czy to wskutek chęci popisania się przed paniami, które już do wieczora nasze trudy podzie-

łały, czy też wskutek bolu głowy, który każdy od rannej pukaniny dostawał, dosyć, że rano zawsze lepszy był rezultat.

Pierwszego więc dnia padło w Konstancyi 264 zajęcy, 12 kozłów i 6 lisów. Drugiego dnia trąbiono na wyjazd już o siódmej rano, bo do „Zieliniec“ dwie godziny jazdy. I znowu śliczne mioty, znowu gęsta pukanina a wieczorny rozkład przy świetle księżyca i odgłosie kilkunastu trąbek myśliwskich, wykazał pokaźną cyfrę: 194 zajęcy, 15 kozłów i 11 lisów. Trzeciego dnia wreszcie wyjazd do „Cygan“ o pół do siódmej i również majestatyczna streka: 184 zajęcy, 13 kozłów i 4 lisy, z których ostatni musiał mieć chyba stos elektryczny w sobie, bo całkiem po nocy zabity. Prawdziwie boleśnie zrobiło się na sercu, gdy tego ostatniego wieczora trąby zagrały, zdawały nam się jakimś hymnem pogrzebowym,..... bo też był to pogrzeb....... pogrzeb tych chwil szczęśliwych, tak pięknych, w Bilczu spędzonych.

I powiem słowami naszego Nestora: „Tak to się jeszcze poluje na tem naszem drogiem, błogosławionem Podolu!“

Spis ubitej zwierzyny w Bielczu w dniach 28/12, 29/12 i 30/12 1903 r.

	Konstancya			Zielińce			Cygany			Suma			Razem
	kozłów	lisów	zajęcy	kozłów	lisów	zajęcy	kozłów	lisów	zajęcy	kozłów	lisów	zajęcy	sztuk
1. Paweł ks. Sapieha	2	1	38	4	3	24	1	—	26	7	4	88	99
2. Eustachy ks. Sapieha . . .	2	—	34	2	2	33	—	2	24	4	4	91	99
3. Ksawery hr. Krasicki . . .	3	—	32	2	1	20	—	—	40	5	1	92	98
4. Cyryl Czarkowski-Golejewski	1	1	33	1	—	29	2	1	26	4	2	88	94
5. Michał br. Baworowski . .	—	—	35	2	—	18	1	1	19	3	1	72	76
6. Adam hr. Stadnicki . . .	1	—	23	1	2	18	5	—	26	7	2	67	76
7. Paweł ks. Sapieha . . .	1	1	18	1	2	17	1	—	18	3	3	53	59
8. Andrzej ks. Lubomirski . .	3	3	31	1	1	20	nieobecny			3	4	51	58
Znaleziono	—	—	20	1	—	15	3	—	7	4	—	42	46
Suma . . .	12	6	264	15	11	194	13	4	184	40	21	642	703

C. C. G.

Lwów, 3. stycznia 1904.

W dniu 28. grudnia 1903, odbyło się polowanie w Nowemsiole ad Cieszanów, w dobrach p. Gnoińskiego, na którem ubito:

2 ogromne dziki,
2 rogacze,
4 lisy,
23 zajęcy.

Wynik polowania był bardzo niepomyślny, raz z tego powodu, że nie wolno było dać strzału w niektórych miotach do innej zwierzyny, jak tylko do dzików, a powtóre, że było bardzo mało myśliwych.

W pierwszym miocie padło 24 strzałów do dzików, lecz niestety bez żadnego skutku i dziki przechodziły całkiem swobodnie, a do tego gromadnie po 8, 10 i 15 sztuk z jednego miotu do drugiego a na dowód przytoczę tę okoliczność, że z jednego miotu przeszło do drugiego miotu 27 dzików.

W. Korosteński.

Lwów, 5. stycznia 1904.

„KOZOBÓJCA.“

Noc już dawno zapadła, nad przepolowaną knieją cisza zaległa, blady księżyc przegląda smutną w tej chwili, pooraną śladami sani i stóp ludzkich, poplamioną farbą pomordowanych, ziemię. Na oziminach pod lasem żerują zdziesiątkowane zające, sarny przerażone całodziennym gwarem nie wierzą ciszy, jaka je w tej chwili otacza, co chwila podnoszą zaniepokojone głowy, drżąc na wspomnienie widzianych i słyszanych wśród dnia okropności; jeden tylko przemądry lisiura, schroniwszy się na pierwszy odgłos strzałów do jamy, bada teraz pilnie pobojowisko i sunie za farbą, po krzakach szukając postrzelonego zajączka.

We dworze cisza, światła zagasły, część drużyny rozjechała się do domów, więc po trudach dnia, boski Morfeusz wszechwładnie panuje, nie słychać już gwaru i opowiadań, nie słychać strojonych z towarzyszy — myśliwych, żartów.... oj, te żarty!!.. Późno w noc, szczęśliwy uczestnik tych łowów, wraca w zacisze domowe w stolicy, czeka go ciepłe, upragnione w tej chwili łóżko, witają w szafce połyskujące bronie, rozwieszone na ścianach, dawnych łowów zdobycze.

Dziś jednak od tych w pocie czoła zdobytych wieńców jeleni, od połyskujących szabli dziczych, nie idzie do myśliwego żadne słowo powitania, nić wspomnień, drgająca przy każdem widzeniu się, dziś jakby splątana, zerwana... Ale co tam refleksye! światło po chwili gaśnie znużone oczy zamykają się i pokój rozlega spokojnem, przez szczęśliwych towarzyszy polowań i noclegów, z piłą tartaczną porównanem chrapaniem.

Lecz wtem, jakiś dziwny ruch i szmer w pokoju, chrapanie milknie, śpiący myśliwy poczyna się rzucać na łożu, czoło potem się okrywa, bo to co się dzieje, wręcz straszne.

W szafce z bronią jakiś szczęk i stukot i oto w miejsce Schönauera wygląda przez szybę jakiś przedpotopowy garłacz, dryling zmienił się w zardzewiałą, sznurkiem do polana przywiązaną rusznicę, zamiast naboi i śrutu, leżą w szufladzie posiekane gwoździe i kłaki. Na ścianach trzeszczą powbijane haki i raptem nie ma już dumnych trofeów, w miejscu wieńców dwunastaków, sterczą jakieś mizerne widlaki, zamiast rożków rogaczy, wiszą same foto-

grafie ich żon a i nieboszczyk właściciel, zawieszonych nad szafką białych szabli, ożył nagle i piękny jak był ongi, ze zjeżonym na łbie czubem, z krwią nabiegłemi ślepiami i spienionym gwizdem sunie teraz do łóżka: „coś zdziałał nieszczęsny?! nie dla ciebie szlachetna zwierzyna, nie dla ciebie expressy i kule, będziesz odtąd siekańcami strzelał szaraki.... bądź wyklęty, kozobójco“!!!

Zrywa się z łóżka, nieszczęsna ofiara i otwiera oczy; przez szyby zaglądą już szary dzień zimowy, na ścianach wiszą spokojnie i wieńce i rożki i szable — więc to był sen!! — straszny sen.

Czy tylko sen i we wszystkich szczegółach, nie wiem; byłem niedawno na takiem polowaniu, gdzie i u kogo nie powiem, gdzie jeden z wytrawnych znawców płci u sarn, zamiast rogacza, biedną siutę zabił, — widziałem, jak go potem przy obiedzie złośliwi towarzysze, z apetytem możliwym tylko po polowaniu, żartami jedli, wiem o widmach i marach, które go w śnie nawiedzają, ale kto to był — nie powiem.

W. S.

Lwów, w styczniu 1904.

Dnia 28. grudnia, z. r. polowaliśmy w siedm strzelb w Mogilnicy starej, u Bronisława hr. Starzeńskiego. Padło 26 zajęcy, 2 rogacze i 1 lis, a strzałów nie wiem ile. Z początku wprawdzie liczyliśmy je, ale niedługo jakoś rachunek się pomylił, prawdopodobnie przypadkiem, bo nie chciałbym posądzić o interesowność w tym wypadku towarzyszów, ani siebie samego. -- Ale huczno i głośno było przez dzień cały, jak podczas bitwy. — Z kilku stron słyszałem i czytałem utyskiwania na zmniejszenie stanu zajęcy, w Mogilnicy tego nie uważałem. owszem może nawet więcej ich było niż w latach poprzednich, a że nie więcej się znalazło na rozkładzie, przyczyną chyba, że było nas trochę mało, stąd gęsta a niezbyt skuteczna, na dalekie dystanse strzelanina.

Stan sarn, ładny jak zwykle, ale rogaczów mało pada na zimowych polowaniach, gdyż nie bardzo jesteśmy na nie zawzięci, zostawiając je na lato. — Lisów znacznie więcej pokazało się tym razem, bo widzianych było sześć; z tych jeden padł, jeden chybiony, a cztery bardzo ostrożnie tylko zdaleka się pokazały.

Liczna nagonka pod wodzą dziesiętników i leśnych, chodziła i wychodziła, jak na nasze nagonkowe stosunki i warunki pomimo okiści wcale dobrze, a kilkakrotnego piekielnego wrzasku i harmideru na widok większej naraz ilości zwierzyny, już i nie biorę w rachubę, bo to specyalna przyjemność, której się żaden z naganiaczów za nic nie wyrzeknie, ani nie da jej sobie wyperswadować.

W ogóle bardzo miłe i urozmaicone miewamy w roku polowania, w ładnie utrzymanej i gęsto zamieszkanej kniei mogilnickiej, co jest tem większą zasługą gospodarza, że nie mieszkając w miejscu, choć zdaleka, a tak skutecznie opiekuje się zwierzyną, przy gorliwej pomocy leśniczego p. Roszczakowskiego, który nawet zające zna od małego, ledwie że nie po imieniu.

Zdałoby się tylko w paru miotach trochę przeciąć krzaki przed stanowiskami i w czwartym nieco linię poszerzyć, coby znacznie ułatwiło strzelanie i odbiłoby się korzystnie na rozkładzie. Pozwoliłbym sobie też zwrócić się do gospodarza kochanego z małą prośbą, ażeby zwierzynę swoją nauczył większej uprzejmości i porządniejszego trzymania się ułożonego programu polowania. Chodzi mi tu o pantarki, które mieliśmy obiecane w jednym miocie, (uciekły z leśnictwa) a które wyniosły się przed nami, zostawiając w zastępstwie tylko parę, wprawdzie równie krzykliwych, ale mniej zajmujących sojek. — Dobrzeby też było, gdyby zające pojedynczo a nie stadami, jak to bywało, wybiegały do gości, tak że nie wiedziałem, z którym pierwej się witać. — Ale miejmy błogą nadzieję, że przez ten rok i pantarki przyswoją sobie zasady savoir vivre'u i zające się utemperują, a tymczasem dziękujemy gospodarzowi za to, co było, bo i zabawił nas doskonale i przyjął serdecznie.

Jeżeli się mylę, — to uderzając się w piersi, najmocniej interesowanych przeproszę, ale zdaje mi się, żem nie prześlepił, a znaleść nigdy nie mogłem sprawozdań delegatów z mojego, t. j. trembowelskiego powiatu. Dlatego pozwoliłbym sobie, choć nie powołany, podać odrobinę szczupłych wiadomości, które zdołałem pozbierać. Naturalnie, muszą one być bardzo ogólne.

Stan zajęcy, ogólnie wziąwszy, z wyjątkiem tylko paru bardzo zasobnych rewirów zmniejszył się, i w kniejach już opolowanych w tym sezonie, wszędzie prawie mniej padło, niż w latach ubiegłych. — Nie słyszałem wprawdzie o żadnej chorobie zajęczej, a nawet rok ten z wiosną i w lecie nie źle się zapowiadał, ale przyczyny jakiejś, szukać należy chyba u samych zajęcy, bo i polowania nikt tu prawie nie nadużywa i kłusownicy nie bardzo się nimi zajmują.

W części, ale chyba tylko bardzo małemu procentowi odpowiadającej, odnieśćby to można do znaczniejszego rozmnożenia się lisów w czasach ostatnich; spotyka się je teraz gęsto, i to nieraz w miejscach, gdzie dawniej do rzadkości należały, a u nas jakoś ani nie chorują, ani się nie wściekają. Stan sarn bardzo rozmaity, bo większe i mniejsze, gorsze i lepsze rewiry pomięszane ze sobą i przegradzają się wzajemnie z różną opieką i gospodarką, ale wogóle wcale niezły i stosunkowo lepszy niż zajęcy, bo nawet w niektórych lasach daleko łatwiej o kilka sztuk sarn niż o jednego zająca, pomimo niezbyt troskliwej dla sarn opieki właściwej, w niektórych miejscach, a za to zbyt pieczołowitego zajęcia się niemi kłusowników.

Wprawdzie kilku głośniejszych mistrzów tego zawodu usunęło się już w zacisze domowe, ale jeszcze Bogu dziękować zostało ich trochę, ażebyśmy się nie odzwyczaili i ci pracują ze zdwojonym, godnym lepszej sprawy zapałem, a co smutniejszem jest, to, że w części rekrutują się z pobereżników zostających w służbie; jak bywa czasami tam, gdzie właściciela polowanie nie wiele, albo nic nie obchodzi, a zadawala go dziesięcina składana przez pobereżnika, ze swojego albo i.... cudzego rewiru.

Kłusownicy nasi są nietylko dość zręczni, ale nawet i bardzo bezczelni; małym przykładem mogę służyć.

Przed dwoma laty, w październiku idąc krajem lasu przed zmierzchem, strzeliłem do pomykającego zająca; było dość daleko, więc wlókł się jeszcze po strzale i właśnie miałem zamiar dublować, kiedy z czerniejącej już ściany gęstego lasu padły dwa strzały i jakiś człowiek wysunął się szybko w kierunku zająca. Mimowoli, będąc już w składzie, zwróciłem się ku niemu, zresztą bez zamiaru użycia śrótowego argumentu, (chociaż porcya dziesiątki, którą miałem w ładunku, z pewnością by mu dobrze zrobiła), skoczył w las i tyle go widziałem, bo w przepaścistym terenie ani mowy o szukaniu, do tego o zmierzchu; zdaje mi się, że to chyba dostateczny dowód, do jakiego stopnia

posuwają oni swoją bezczelność, bo innej nazwy chyba tu użyć nie podobna.

Z dzikami całkiem się u nas odmieniło; dawniejszemi laty, prawie z reguły ozdabiały imponująco rozkłady większych i mniejszych polowań, teraz gdzieś zawsze znikają. Mamy wprawdzie w stałych miejscach, stałych, starych wyjadaczów; ale ci staruszkowie za młodu pokiereszowani, nie głupi prezentować się linii strzelców; a plebs rozprasza się regularnie co zima Bóg wie którędy, ażeby na lato po spacerze z lepszym apetytem wrócić na kukurydzę i ziemniaki. — W tym czasie bywają nawet bardzo towarzyskie i krotochwilne, w budkach słomianych przy kartofliskach, pozwalając sobie przytem na przyjemne, prawdziwie dzicze figielki.

Do delikatniejszych n. p. należy zwalenie budki na plecy śpiącego właściciela.

Jako o wypadku dnia, opowiadano przed dwoma jeszcze laty o zainstalowaniu się całej familii wilków, gdzieś na granicy między lasem budzanowskim i mogilnickim. — Kilka razy jeszcze i w następnych latach o nich wspominano, ale nie spotkano ich ani na polowaniach, ani też nie było żadnych znaczniejszych szkód w tych czasach, pomimo to wieść ta jednak ciągle się utrzymuje i dlatego tylko o tem wspominam, a nam nie wypada nic innego, jak tylko czekać cierpliwie. — Vederemo.

Co do polowania letniego na ptactwo, to jak wszędzie, tak i u nas uważamy od lat czterech stałe i gwałtowne co roku zmniejszanie się ilości przepiórek, zato podniósł się stan kuropatw. W niektórych miejscowościach przez zaszanowanie (bywało dawniej, chociaż nie bardzo dawno, że pobereżnik wywiązując się z polecenia dostawy do dworu, strzelał z zasiadki, jak to mówią sznurkiem, a ilu przy tem nogi połamał i po ciemku nie odszukał?) gdzieniegdzie zaś, jak n. p. u p. F. Mysłowskiego w Źwiniaczu sprowadzono i rozmnożono kuropatwy, gdzie ich od dosyć dawna prawie całkiem nie było. Wprawdzie p. Mysłowski nie należy do trembowelskiego powiatu, ale ma i w nim właśnie zakuropatwiony w ten sposób teren, dlatego go tutaj wciągnąłem.

Na błotach dubeltów co roku mniej się spotyka, kaczek i kszyków także nie za dużo, ale na skromne wymagania wystarczy, zato dość liczne stada kulonów dają nam bardzo zajmujące podjazdy i podchody, tylko niestety rzadko z pomyślnym wynikiem.

Mamy też w kilku miejscach, dość licznie reprezentowaną, a w innych okolicach rzadką, lub wcale nieznaną zwierzynę, t. j. dropie. Bliskie jednak spotkanie z nim i strzał szczęśliwy, to casus, o którym długo potem i szeroko a głośno się opowiada. Ja niestety nie byłem szczęśliwym, a z ostatniej dropiej wycieczki, przywiozłem jedną czajkę. Słonki pokazują się co roku we wszystkich prawie rewirach; ciągi wiosenne wypadają zwykle dość marnie, za to jesienne od lat kilku stale obfite, a w niektórych rewirach wprost imponujące. — Najwięcej ich pada na buszówce przed psami, trochę przed nagonką, a na trzeciem dopiero miejscu postawiłbym rozkład, uzyskany z właściwego ciągu.

Tak już według powiatowego obyczaju; ot n. p. polowaliśmy z nagonką, wieczór ładny zachodzi, jesteśmy już na miejscu, to i poczekamy na ciąg; i czekamy. — Słonki spłoszone całodzienną pukaniną przycupnęły gdzieś po krzakach, a jak się jakaś śmielszej natury pokaże, to z wielkiej odwagi prawdopodobnie, drze jak opętana, paf, paf i poszła dalej, to najczęstszy eventus.

Korzystając, żem się już zabrał do pisania, przypomnę tu jeszcze i znowu sprawę, w której już nie raz w Łowcu, Towarzystwo nasze alarmowałem. Znowu widuję, teraz, w styczniu, i to w znacznej ilości po lwowskich handlach kuropatwy. Chociaż otwarcie wiszą na wystawie (w zeszłym roku w marcu widziałem na wystawie zająca) bardzo wątpię, ażeby były sprowadzone z okolic, gdzie teraz nie mają ochrony, bo daleko by trzeba za niemi szukać. Czasby był już chyba najwyższy, zrobić z tem w jakikolwiek sposób porządek, bo raz jeszcze, jak już pisałem w swoim czasie, gdybyśmy mogli zliczyć, ile Lwów zużyje w ciągu roku, kradzionej i w ochronie ubitej, najrozmaitszej grubszej i najdrobniejszej zwierzyny, otrzymalibyśmy cyfry olbrzymie, które niedalekoby z pewnością uciekły od oficyalnie podanego rozkładu całorocznych polowań.

T. Gordaszewski.

Zielona, 10. stycznia 1904.

Zimowy sezon polowań, rozpocząłem u p. Mieczysława Potockiego w Kośmierzynie dnia 2. i 3. grudnia 1903 polowaniem w ośm strzelb. Kośmierzyńska knieja udowadnia, jak może się w bardzo krótkim czasie stan zwierzyny podnieść, jeśli właściciel jest myśliwym i dba o nią. Gdy przed kilku laty p. Potocki objął majątek, knieja była prawie ogołoconą z wszelkiej zwierzyny, nawet lis był rzadkim, gdyż nie miał czem się pożywić. Dziś roi się knieja od zajęcy i sarn. Rezultat odbytego polowania nie zawiódł oczekiwania, a byłby znacznie większy rozkład, gdyby nie piękna pogoda, która wywabiła zające w pole, a myśliwi spodziewając się prawie w każdym miocie dzików, nie strzelali do szaraków. Rozkład: dzik, 12 lisów, 6 kozłów i 31 zajęcy.

Gdy dodam o serdecznej gościnności gospodarstwa, o energicznem i ze znajomością prowadzeniu polowania — musieli najwybredniejsi być zadowoleni, za co w swem i towarzyszy imieniu, gospodarzowi serdecznie dziękujemy, prosząc o pamięć na przyszłość.

Dnia 7. grudnia, polowaliśmy w kilka strzelb, u p. J. Jakubowicza w Puźnikach.

Ponieważ poprzednio już pisałem o kniei puźnickiej i zasługach gospodarza na polu myśliwskiem, zaznaczam tylko rezultat: kozioł, 2 lisy i 23 zajęcy. Do dwu dzików strzelano niefortunnie.

Rok ubiegły zakończyłem polowaniem u K. Przybysławskiego w Uniżu. Polowaliśmy tylko w 3 strzelby. Pomimo tak małej ilości myśliwych, — nie można było każdego miotu należycie obstawić — rezultat jednak świetny: dzik, 7 kozłów, 17 zajęcy, 4 lisy. Dwa dziki mocno farbujące przeszły w obcą knieję. Uniż słynący od lat pięknym stanem zwierzyny, nie zawiódł i w b. sezonie! Dodam, że w lecie na podjazd zabito 11 kozłów! Zauważyłem, że w kniejach nad Dniestrem, gdzie stan sarn silny, mniej zajęcy, więcej w polu niż w lesie; sarny wypłaszają szaraka i ten skazany jest na przesiadywanie w remizach polnych.

W ogóle zajęcy w tym roku mniej, pomimo sprzyjającej wiosny i lata — kuropatw znacznie więcej niż w minionym sezonie.

W. S.

Tuligłowy, 11. stycznia 1904.

Dnia 9 bm. odbyło się w Czajkowicach u p. Stanisława Bala polowanie w 6 strzelb na przestrzeni 100-morgowej niskopiennego lasu.

Pod znakomitem kierownictwem samego właściciela ubito na 34 strzały, od godziny 1-szej do godziny 3-ej po południu, 20 zajęcy, 1 rogacza, 1 lisa.

Pomimo panującego silnego wiatru stan zwierzyny był bardzo dobry, większa jednak część sarn jakoteż i zajęcy przeszła przez pogonkę.

Sarny w tutejszych rewirach bardzo giną na znaną sarnią chorobę motylicę, pomimo tego, że dawano suchą paszę i lizawki w tryzubach.

Jesienny ciąg słonek był wyśmienity, — podpisany sam ubił 23 słonek.

Otokar Novotny
leśniczy.

Klimkówka, 11. stycznia 1904.

Józef, służący dawnego typu, który wiele za młodu polował, daje mi znać przy śniadaniu, że w ogrodzie warzywnym zapewne rogacz chodzi. Poznaję go z daleka po talerzu. Chwytam teschnerówkę, ładunki, czapkę i wybiegamy. Rogacz tymczasem wyszedł przez wywrócony parkan, przez drogę gminną między sady i chałupy za ogrodem. Ludzie idący gromadnie na targ do Rymanowa mówią mi, że sarna chodzi po sadach. Pospieszam i widzę jak chłopcy i dziewczęta zabiegają, lecz rogacz w kilku skokach przedostaje się przez nich, wydarłszy się z rąk chłopca, który go miał niemal w objęciach, w pola i tam nad potoczkiem się zatrzymał. Krzyknąłem na chłopców, by go nie ścigali i podszedłszy bliżej, palnąłem w komorę. Rogacz miał parostki nowe na 3 cale, ważył blisko 20 klgr. Mało bojaźliwe zachowanie się rogacza nasunęło mi wątpliwość, czy to nie jaki chowany, choć o takim w okolicy nic nie słyszałem. Józef utrzymuje, że to zbałamucony?

Zajęcy w tym roku bardzo mało. Na opolowanym terenie, w części polnym w części leśnym, gdzie przed 3-ma laty padło 30 zajęcy, w tym roku padło 4, a drugie tyle uszło z życiem, mimo licznej nagonki. To prawda, że wskutek choroby zaniedbałem polowania przez parę lat ostatnich i lisy mało strzelane a nie trute rozmnożyły się znacznie tak, że w każdym prawie miocie były. Widocznie nie trzeba tych szkodników żałować i zachowywać na okrasę polowań, lecz z rozpoczęciem zimy truć systematycznie — obecnie znów śniegu nie ma i już trudno będzie znaleść porę, by wróble zakładać, lecz mniejsza o skórkę, byle szkodniki do wiosny wytępić. W dobrach Sanniki, pow. Mościski, które objąłem przeszłego roku przy odnawianiu kontraktów służbowych, wpisałem do książeczek służbowych premię za zabitą na polowaniu zwierzynę i za tępienie szkodników. Lis jednak kpiąc widocznie ze świeżo zaciężnej straży polowej, przychodził przez parę dni codzień rano na podwórze folwarczne, aż raz, gdy czując się zbyt pewnym siebie, nastawać zaczął na babę, niosącą śniadanie parobkowi, ta uderzywszy go kobiałką, narobiła krzyku. Ludzie zbiegli się i dalej na lisa, lis do stawu i siedzi na środku, i mimo krzyków wyleść nie chce. Ekonom porwał rewolwer, a stelmach buch do wody. Po strzale oczywiście chybionym lis zmiarkował, że to nie przelewki i lepiej nie czekać na kule. Wylazł na brzeg i tu pod kijami śmierć znalazł. Tak zuchwalstwo zostało ukarane, a ludzie uradowani, że samica, podzielili się trzema koronami. Drobne polowanie w 3 strzelby po polach sannickich dało na rozkład 15 zajęcy — 45 ruszono. Zobaczymy, o ile zwierzyna po kilku latach się rozmnoży. *St. Ostaszewski.*

Lwów, 12. stycznia 1904.

Z końcem grudnia odbyło się polowanie w Boryniczach. Pierwszego dnia zabiliśmy w 8 strzelb 53 zające, 1 lisa i 6 rogaczy, — drugiego w kniei dzierżawionej od fundacyi Skarbkowskiej, 1-go dzika, 10 zajęcy i rogacza.

Dnia 4-go stycznia polowałem na granicy rosyjskiej nad Zbruczem w Trojanowie. Zabiliśmy 5 lisów, 3 rogacze, 124 zające, — 5-go zaś polowałem w Krogulcu, u Bronisława Łastawieckiego; zginęły 4 rogacze, 226 zajęcy, obydwa dni w 10 strzelb. Stan zwierzyny w obydwóch kniejach świetny. O ile można dobrą gospodarką łowiecką podnieść stan zwierzyny, dał przykład Krogulec, gdzie przed pięciu laty na polowaniu całodziennem, padło 7 zajęcy a 5-go bm. 226.

Teofil Żurowski.

Czerteż, 14. stycznia 1904.

Dnia 12. i 13. stycznia polowaliśmy w Żurawnie w 9 strzelb, nie licząc gospodarza, p. Antoniego Skrzyńskiego, który zajęty prowadzeniem polowania, dopiero w ostatnich miotach do kilku strzelił zajęcy.

Polowaliśmy przeważnie na polach, biorąc kociołki, lub robiąc t. zw. „drukiery" a manipulowanie olbrzymią armią 200 ludzi nagonki bez żadnych bałamuctw, nieporozumień i przerw, stanowiło dla gospodarzą potrzebę ciągłego czuwania i nadzorowania całego aparatu tak, że o sobie już zupełnie zapomniał i ledwo przy końcu dopiero, widząc jak coraz więcej zajęcy wynosi się chybionych, kilku takim uciekinierom nić żywota przeciął.

Prócz czuwania nad całem polowaniem, roztaczał też jeszcze gospodarz opiekę swoją nad „królową" tych naszych łowów, młodą adeptką św. Huberta, która przez te dwa dni, mimo 10° mrozu, dzielnie nam dotrzymywała.

Pierwszego dnia polowaliśmy w Włodzimiercach, gdzie padło 60 zajęcy.

Braliśmy dwa mioty w łozach nad Świcą, w których co chwila przelatywały stadka kuropatw, i nie byłbym nigdy przypuszczał, że u nas w Galicyi wschodniej można dojść do takiej ilości tych ptaków i wyznaję szczerze, że mi te kuropatwy, które w tym dniu widziałem — najwięcej zaimponowały.

Co do kuropatw żalił się gospodarz, że w tym roku jest ich mniej, niż dawniej.

Na drugi dzień polowaliśmy w samem Żurawnie na polach, tuż obok miasta położonych.

Postawiony na stanowisku miałem chwilę wątpliwości, czy tak pod samem miastem, gdzie tylu jest łakomych na cudzą zwierzynę, zastaniemy dużo zajęcy.

To też wielkie było moje zdziwienie, gdy za zbliżaniem się ku nam nagonki, zaczęły to z roli, to z ścierni, to z rzepaczyska, to z paszy pomykać zające, najpierw pojedynczo, potem po kilka i po kilkanaście, aż wreszcie zaczęła się pukanina, która czasami rotowy ogień przypominała.

Wiele w tych dwóch miotach pod miastem chybiono zajęcy, tegoby nikt nie uwierzył, kto tego nie widział, a przecież byli tam mistrze nad mistrzami!!!

Na dwóch stanowiskach, po lewej stronie odemnie i dwóch po prawej, wliczywszy w to moje piąte, naliczyłem w tych dwóch miotach 28 chybionych zajęcy, a takich stanowisk było jeszcze drugie pięć i tam także nie lepiej się działo. Przykrość nasza z tej naszej fuszerki była o tyle większa jeszcze, że na te dwa mioty wyjechały do nas

z pałacu panie i patrzyły... jak doskonale zające uciekają Ogółem zabito w tym drugim dniu 80 zajęcy, razem tedy 140 zajęcy na 500 kilkanaście strzałów.

Przed wieczorem pojechaliśmy jeszcze na dwa mioty do lasu i zabiliśmy tam 2 lisy i trzy rogacze.

Ogółem tedy zabito 145 sztuk.

Lista gości przedstawia się następująco: 1. p. hr. Henryk Starzeński; 2. p. hr. Stanisław Mycielski; 3. p. Ignacy Dembowski; 4. p. hr. Julian Tarnowski, król polowania z zabitymi 23 zającami, 1 rogaczem i 1 lisem; 5. p. Zofia Wołkowicka; 6. p. Kazimierz Wołkowicki; 7. p. Antoni Wołkowicki; 8. p. dr. Adam Pilecki; 9. p. Włodzimierz Garapich.

W jednym z poprzednich *Łowców* czytaliśmy korespondencyę, w której podniesionem zostało, że tylko pod opieką i kierunkiem Niemców można zwierzynę rozmnożyć i urządzić polowanie, uwieńczone lepszym skutkiem.

Żurawno byłoby jednak dowodem, że i bez pomocy obcych ludzi można mieć dużo zwierzyny i można urządzić doskonałe polowanie. Trzeba tylko, aby gospodarz tego chciał, na tem się sam rozumiał i siłą swej roli i energii zorganizował u siebie myśliwstwo.

A trzeba znać naszą żydaczowsko-stryjską okolicę!

Nigdzie może w kraju kłusownictwo nie jest tak rozwinięte, jak tu właśnie w tych stronach.

Wiele tu po wsiach strzelb między gazdami, a wiele na ścieżkach, po potokach drutów i samotrzasków na zające, o tem myśliwy z innych stron Galicyi pojęcia nie ma. Ja naprzykład sam mimo, że jestem stary myśliwy i lubię koło zwierzyny oszczędnie i troskliwie chodzić i mimo, że na Podolu miałem na samej rosyjskiej granicy bardzo ładny stan zajęcy, tu przecież nic zrobić nie mogę i patrzeć muszę, jak gazdy bezkarnie i bezlitośnie resztki sarn i zajęcy wybijają.

U mnie we wsi jest żydówka, do której kłusownicy znoszą z 4 wsi okolicznych zwierzynę i która raz na tydzień tę zwierzynę nocnym pociągiem z Nowosielec szlacheckich do Lwowa i Stanisławowa wysyła. Wszystkim wiadomo jak ta żydówka się nazywa i jaki handel prowadzi, — żandarmi są bardzo gęsto po wsiach rozmieszczeni, a przecież dotychczas nie zdarzyło mi się słyszeć o fakcie odebrania strzelby kłusownikowi, lub skonfiskowania wysyłanej zwierzyny, dla przekonania się czy żydówka czasem i sarny zamiast rogacza do kolei nie expedyuje!

To też szczerze podziwiam pana Antoniego Skrzyńskiego, który u siebie zdołał stan zwierzyny podnieść do tych rozmiarów, w jakich ona się dziś w Żurawnie znajduje, a wszystko to zrobił sam przy pomocy swoich tutejszych Pawłów, Iwanów etc. etc., nie sprowadzając ludzi „von Draussen“.

Wiele to jednak właściciela kosztowało trudu, wiele irytacyi i wiele sił i zdrowia, aby zakorzenione nadużycia wytępić, a podwładnym wszczepić poczucie bezwzględnego posłuszeństwa i karności, o tem sądzić mogą tylko ci, którzy patrzyli jak to łowiectwo w Żurawnie powstawało i do dzisiejszego rozwoju swego doszło.

Podnieść tu jeszcze muszę z uznaniem działalność tego, którego właściciel sobie upatrzył i wtajemniczył w swe zamiary, a który dziś stoi na straży tegoż myśliwstwa i z taką chlubą się z tego stanowiska wywiązuje a który przecież nie jest Niemcem, tylko z krwi i kości Polakiem (P. Stary).

Te bardzo liczne stadka kuropatw, które widziałem pierwszego dnia polowania w Włodzimiercach, te liczne bardzo zajączki na polach i paszach, stan sarn w lesie na „Bakocynie“ i wreszcie bażantarnia żurawieńska która ostatnim wylewem Dniestru i Świcy zniszczona, dziś znowu się dźwiga i do pięknego stanu tego szlachetnego ptactwa dochodzi, wszystko to dogląda, pilnuje i karmi P. Stary, jako prawa ręka właściciela, więc też i jemu należy się osobna wzmianka w tej korespondencyi.

Nie łatwa to rzec w naszych stronach, gdzie brak jeszcze w tym kierunku u ludzi tradycyi i wprawy, polować w kociołkach i robić „drukiery“ z 200 ludźmi nagonki, żeby się to odbyło bez zamieszania i bez konfuzyi.

A przecież i tę stronę polowania właściciel z p. Starym opanowali zupełnie, wszystko szło sprawnie i w szyku, a dziwnie ładny widok stanowił łańcuch naganiaczy z czerwono-białemi chorągiewkami, zbliżający się do środka kociołka.

Włodzimierz Garapich.

Tokarnia, d. 15. stycznia 1904.

Dnia 13. stycznia br. polowaliśmy w 6 strzelb w Krzyszkowicach, w powiecie myślenickim na obszarze dworskim, który obszar wraz z polowaniem gminnem od szeregu lat dzierżawi dr. Emil Adelman, adwokat z Myślenic. A że nie szczędzi pieniędzy na utrzymanie porządnych dozorców, jest w możności co roku dać swoim przyjaciołom prawdziwie ucztę myśliwską; dał też i tego roku. Mimo ogólnego braku zwierzyny w całym kraju, u nas w górach jeszcze większy brak odczuwamy, bo nie dosyć, że klęski elementarne niszczą zwierzynę, ale nadto kłusownictwo, stawianie drutów tak u nas rozpowszechnione, a trudne do dopilnowania, że pozbawia nas reszty zwierzyny. Mimo tego wszystkiego, w Krzyszkowicach, w lesie w 3 miotach było widzianych 12 sztuk sarn, przez całe polowanie ruszono przeszło 30 zajęcy. Na rozkładzie wieczór były 3 rogacze, 3 lisy, 10 zajęcy i jedna sowa. Uważam za stosowne wyrazić w tem miejscu uznanie Panu Dr. Emilowi Adelmanowi za tak troskliwe staranie się o zwierzynę a zwłaszcza, że to tylko teren dzierżawiony.

Bolesław Targowski.
delegat powiatu myślenickiego.

Hawłowice, p. Pruchnik, 17. stycznia 1904.

W dniu 11. bm. odbyło się polowanie, jak zawsze świetnie zorganizowane, przez ks. Witołda Czartoryskiego na polach i na zalesionych wydmach piaszczystych, należących do dóbr ks. Jerzego Czartoryskiego, rewiru Głażyna. W 8 strzelb padło 82 zajęcy, 5 lisów i 2 rogacze.

Drugiego zaraz dnia, tj. 12. bm. w 12 strzelb polowaliśmy w Zarzeczu, ordynacyi hr. Tadeusza Dzieduszyckiego. Zwierzyny mnóstwo; organizacya wzorowa pod kierunkiem ks. Witołda Czartoryskiego, a przy pomocy wielce gościnnych synów hr. Tadeusza Dzieduszyckiego. Padło 152 zajęcy, 20 rogaczy, 5 lisów.

Za te dwa dni prawdziwych godów myśliwskich na tem miejscu, imieniem całej drużyny myśliwskiej najserdeczniejsze dzięki.

E. Wolski.

Pikułowice, 19. stycznia 1904.

W załączeniu przysyłam sprawozdanie z polowań w których brałem udział. Na dniu 25. listopada 1903 po-

dobnym do przekładańca wielkanocnego, bo deszcz ze śniegiem, to śnieg z deszczem na przemiany, od godz. 11 do wieczora, polowaliśmy w Werbiżu w 15 strzelb.

Z powodu ciemnego dnia znaczna ilość strzałów chybia właściwego celu, mimo to na rozkładzie 6 rogaczy, 2 lisy i 30 zajęcy.

Dnia 15. grudnia 1903 przy kilkustopniowym mrozie i na świeżutkim śniegu w 20 strzelb w Basiówce. Strzałów padło po nad 140, na rozkładzie 11 rogaczy, 8 lisów i 24 zajęcy.

Dnia 13. stycznia br. w drugiej części rewiru „Werbiż“ „za Chajkowem“ w 15 strzelb.

Niektóre mioty roją się od sarn.

Na rozkładzie 10 rogaczy, 4 lisy i 11 zajęcy.

Dnia 16. stycznia b. r. w Pikułowicach w 10 strzelb. Do lasu jedziemy z niedowierzaniem z powodu dwudniowej odwilży, która i tak małą ilość śniegu pożarła.

Św. Hubert łaskaw jednak na swego wyznawcę, zatrzymuje pewną ilość zajęcy w lesie. Szelma lis pomimo odwilży jeszcze nie odtajał, dlatego też 7 strzelanych uchodzi.

Na rozkładzie 2 rogacze, 6 lisów i 33 zajęcy.

M. Małaczyński.

Łuka, w styczniu 1904.

Korzystając z łaskawego zaproszenia Panów Jabłonowskiego i Brykczyńskiego, brałem udział w ślicznem polowaniu, które się odbyło w Horodnicy i Deryłozach w dniach 11., 12. i 13, stycznia b. r.

Zabito 12 rogaczy, 7 lisów, 235 zajęcy i 1 puhacza, ogółem zaś sztuk 255.

Rozkład w tej kniei bywał zwykle jeszcze znaczniejszy, poluje w niej bowiem zazwyczaj czternastu myśliwych, teraz zaś polowaliśmy w pierwszych dwóch dniach tylko w dziewięć, ostatniego zaś w dziesięć strzelb, dlatego też dużo sarn i zajęcy uszło nie obstawionemi flankami bez strzału.

Dziki będące tam stałą zwierzyną nie dopisały, wynosząc się przed samem polowaniem za granicę.

Henryk Prek.
delegat kałuski.

Z bukaczowieckiej kniei.

Towarzystwo bukaczowieckie polowało w ubiegłym roku 8 dni w dzierżawionych przez siebie rewirach, a to cztery dni w październiku i cztery w grudniu. Rozkład przedstawia się następująco: dzików 11 w tem 5 grubych odyńców, rogaczy 25, lisów 10, zajęcy 101, słonek 31, 1 kuna, jastrzębi 3. Razem sztuk 182.

Aleksander Przedrzymirski.

Podkamień, w styczniu 1904.

W dniach 4-go i 5-go stycznia odbyło się polowanie w Bursztynie, u księstwa Stanisławów Jabłonowskich, przy najniepomyślntejszych klimatycznych warunkach, bo przy szalejącej przez cały czas burzy, przy dość silnym mrozie. Pomimo tego w 11 strzelb ubito: 1 dzika, 9 rogaczy, 2 lisy i 64 zające. Ze smutkiem dodać trzeba, że co najmniej drugie tyle zwierzyny uszło chybionej, a co gorsza postrzelonej, pomimo tego, że kontyngent stanowili sami doborowi myśliwi. Ale to rzecz wiadoma, że i najcelniejszy strzelec zawsze znaleść potrafi wymówkę chybnego strzału, Gąszcz, wąskość linii, zbyt wielka odległość, śrót za cienki, śrót za gruby i t. d. tego wcale nie brakowało — a w dodatku wiatr silny, mróz i skostniałe palce. Cóż to za wyborna wymówka? Jedna tylko dama, która uczestniczyła wśród łowów, księżna Jabłonowska, podobnych wymówek nie potrzebowała wcale, dając ciągle przykład celnych strzałów, przykład, który nie wszyscy umieliśmy naśladować. Od lat kilku będąc szczęśliwym uczestnikiem bursztyńskich łowów, miałem sposobność przekonać się, do jakich rozmiarów podniósł się w ostatnich czasach tamtejszy zwierzostan — ilość sarn osobliwie jest imponująca. Zbytecznem byłoby dodawać, że polowanie pod sprężystą ręką młodego gospodarza jest wzorowo prowadzone.

Leopold Starzeński.

W dniach 11. i 12. stycznia polowaliśmy w Bielinach u p. Stefana Sękowskiego w 11 strzelb. Dziwnem zjawiskiem było, że pomimo 12. i 13. stopni mrozu, zwierzyna nie szłą chętnie naprzód, nawet lisy cofały się na nagonkę, była to pewna zapowiedź odwilży, która też w parę dni później przyszła. Pomimo, że stan zajęcy jest tutaj w całej okolicy nad Wisłą i Sanem słabszy niż zwykle, że zwierzyna naprzód iść nie chciała i że pudłowano niemiłosiernie, (nie wyjmując sprawozdawcy), padło rogaczy 4, zajęcy 102, lisów 2, sowa uralska 1; strzałów 254.

Prowadzenie polowania doskonałe, przyjęcie gościnne, serdeczne, to też z najmilszem wrażeniem opuszczaliśmy piękne Bieliny z pobożnem życzeniem, by szanowny gospodarz za 2 lata (w Bielinach poluje się co drugi rok) o nas nie zapomniał.

Z. Horodyński.
delegat tarnobrzeski.

Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.